

Aldona Reich

DAWCA

Jak to jest, że wszystkie szpitale zawsze wzbudzają w człowieku irracjonalne obawy? Idzie się ciszej, niemal na palcach, rozglądając się niepewnie. Atmosfera, zapach, okoliczności wywołują w każdym intruzie wrażenie niedopasowania, wręcz elementu zakłócającego utrwalony porządek. Lekarzy zwykle nie widać (swoją drogą ciekawe dlaczego?), za to pielęgniarki, głównodowodzące, kroczą pewnie, z automatu ustalając porządek – kto tu jest dla kogo.

Dominik leżał na oddziale, na którym odwiedziły kogoś spoza rodziny graniczyły z cudem. Ale cud się zdarzył – ojciec znał ordynatora, zadzwonił, pogadał. Miałam otwartą furtkę, mimo dość restrykcyjnych przepisów. Pomna przestróg niczego nie wносиłam, zresztą i tak nie miałabym gdzie tego położyć, bo przy łóżku Dominika nie było żadnej szafki. Ciekawe, że przedefilowałam przez cały korytarz i nikt mnie nie zaczepił, nie zapytał, jak tu weszłam i do kogo idę. Blokadę drzwi pokonałam dzięki uprzejmości salowej, której ułatwiłam pokonanie przejścia z dwoma wózkami wyładowanymi nieczystościami. Oj, zdziwi się doktor Brzeski, oj, zdziwi...

Znalezienie właściwego pokoju nie nastęrczyło mi specjalnych trudności. Izolatka jak każda inna, tyle że z przeszklonymi drzwiami. To odarcie chorego z intymności służyło chyba tylko jednemu: żeby personel nie zaprzętał sobie głowy wejściem i sprawdzaniem stanu pacjenta, skoro wystarczy niedbały rzut oka i już można iść dalej. Nacisnęłam delikatnie klamkę i nagle się zawahałam.

Matka Dominika znalazła mnie chyba jakimś cudem. Wróciłam do Z. dosłownie na miesiąc, żeby pozabierać resztki dokumentów i zamknąć sprawy związane z przeprowadzką. Musiała się nieźle wysilić na ten gest, bo nigdy mnie nie lubiła. Uważała, że zamknę Dominikowi drogę do kariery. Stało się, jak się stało. Kto inny to zrobił, ja już wtedy byłam trzymana na dystans. Ale teraz błagała, żebym go odwiedziła. Co musiało się stać, że nagle wszystko poszło w niepamięć, wszystkie konflikty, cała niechęć? Mówiła urywanymi zdaniami, na płytkim oddechu, przerywanym nawracającymi spazmami. Zgodziłam się szybko, żeby tylko nie słyszeć tego jej pełnego rozpaczny skowytu.

Weszłam ostrożnie i na widok leżącego na jedynym w sali łóżku mężczyzny przywołałam na twarz nieśmiały uśmiech. Dominik wyglądał... dziwnie. Pod tymi wszystkimi rurkami, przewodami, przysawkami zdawał się być człowiekiem z przyszłości, jak „wybutlowany” Aldousa Huxley’a czy ludzka sadzonka z *Matrixa*. Był... inny, obcy.

– Ooo... To ty? – Bardziej się zdziwił na mój widok, niż ucieszył. Miał słaby głos, szeptał, z trudem poruszając ustami. – Nie sądziłem, że... – dodał, a potem zamilkł na moment. Ponieważ stałam wciąż niezdecydowana, ponaglił mnie: – No chodź, siadaj.

Podeszłam bliżej, rozglądając się za jakimkolwiek krzesłem. Bezskutecznie. Przewrotnie i wbrew przepisom usiadłam na skraju jego łóżka. Zresztą, jakie to mogło mieć w tej sytuacji znaczenie?

– Jak forma? – Boże, jak mogłam zadać tak głupie pytanie!

– Jeszcze żyję... – Uśmiechnął się z wysiłkiem, a ten uśmiech obnażył stopień wyniszczenia, nieodwracalnego jak wyrok śmierci.

Nie mogłam uwierzyć, że ludzkie usta i dziąsła mogą być tak czarne. Nie sine, tylko właśnie czarne. W gardle rosła mi potężna kula, która nijak nie chciała zejść niżej, mimo iż wciąż nerwowo łykałam ślinę, z trudem zebraną w koszmarnie suchych ustach. Patrzył na mnie, nie odrywając oczu ani na chwilę.

– Która godzina? – zapytał nagle. Tak głośno i wyraźnie, że aż drgnęłam.

– Za dziesięć jedenasta...

Wyglądał tak, jakby coś tam sobie w głowie układał, przeliczał.

– Kiedy przeszczep? – Wreszcie wysiliłam się na coś, co mogło popchnąć tę dziwną rozmowę o krok dalej.

– Nie wiem... Od tygodni mamia mnie tu takimi informacjami, że już niczego nie jestem pewien. – Teraz patrzył w sufit, raz po raz przymykając oczy. Cierpiał, tylko nie widziałem, czy z powodu bólu, czy udręki tego beznadziejnego czekania.

Przyglądałam mu się ukradkiem. Matka uprzedziła mnie, że Dominik bardzo schudł. Ale to nie była prawda – on był dosłownie wyniszczony. Kiedyś wyglądał tak, że niemal wszystkie dziewczyny na roku na nasz widok skręcało z zazdrości. Bo to ja miałam go na wyłączność przez kilka miesięcy. A raczej tak mi się wydawało, że na wyłączność. Życie w postaci życzliwych koleżanek wyprowadziło mnie z błędu. Teraz patrzyłam na niego z mieszaniną litości, smutku i czegoś trudnego do określenia. Wydawał się taki kruchy i bezradny...

Od dłuższej chwili siedzieliśmy w ciszy. Rozglądałam się po pokoju, starannie unikając jego oczu. Chyba wyczuł moją nerwowość, bo niespodziewanie wydobył się ze swojego letargu.

– Powiedz mi... Dlaczego? Dlaczego my?... – Popatrzył na mnie uważnie, z napięciem oczekując odpowiedzi. – Co się takiego stało?

– A ty co? Porządki w sumieniu robisz? Jeszcze nie czas. A poza tym, po co do tego wracać? – zbyłam go. A raczej próbowałam to zrobić, bo sama nie chciałam teraz niczego wspominać. To była wciąż rana, którą zbyt długo rozdrapywałam od nowa, na własne życzenie nie pozwalając się jej zasklepić. Teraz już było dobrze, a co najmniej poprawnie. Już prawie nie bolało. A z drugiej strony, co miałabym mu teraz powiedzieć? – Było, minęło. – Uśmiechnęłam się słabo.

– Nie... Powiedz, proszę...

– Przecież wiesz... Nie był nam pisany kolejny rozdział. Nosiło cię, a ja nie lubię się dzielić. – Puściłam do niego porozumiewawcze „oczko”, ale nawet się nie uśmiechnął.

– Bzdura – wyszeptał. – Byłaś tylko ty... Nie rozumiałem, co się stało... Bez słowa, bez wyjaśnień, jak tchórz – sapnął z wyraźną irytacją.

– Przestań... Jakie to ma teraz znaczenie? – rzuciłam lekko. A tak naprawdę znów przekonałam się, jak głęboko to we mnie wciąż siedziało, bo poczułam napływające do oczu łzy. – Chcesz pić? – Usiłowałam uciec od tematu i w popłochu rozejrzałam się po izolatce.

– Nie chciałaś nic wyjaśnić? – uparł się. – Zawalczyć? Tak po prostu ze mnie zrezygnowałaś? – Żal w jego głosie był tyleż czytelny, co zaskakujący. Może naprawdę mówił szczerze? Tyle że to nie był dobry moment na analizowanie przeszłości. To po prostu się stało i oboje musieliśmy ten fakt zaakceptować.

– Przestań się w tym grzebać! Byliśmy dziećmi i reagowaliśmy jak dzieciaki – uciełam. – Zajmij się swoim zdrowiem, pogadamy, gdy wydobrzejesz. – To była kolejna porcja kłamstw, którymi karmiono go od miesięcy. Tym razem płynąca z moich ust.

Odchylił głowę w jakimś dziwnym, nerwowym geście. Chciałam poprawić mu poduszki i siłą rzeczy musiałam się nad nim pochylić. Cuchnął...

– Śmierdzą, co? – zapytał domyślnie. – Niechętnie się tu takie trupy myje.

Wstałam gwałtownie i rozejrzałam się za jakimiś przyborami toaletowymi.

– Zapomnij... Tu niczego nie można trzymać... Mają mnie myć pielęgniarki, ale dziś nie jest „ten” dzień – próbował zażartować.

Wściekłam się. A może znalazłam wymówkę, żeby choć na moment stamtąd zniknąć?

– Idę do nich! Zaraz wrócę, tylko... – sapnęłam i z ulgą wyszłam na korytarz.

Tam wszystko puściło: zaczęłam kaszleć, płakać, dusić się – wszystko naraz. Wzięłam kilka głębokich oddechów i nawet niespecjalnie mi przeszkadzało, że po brzegi zaciągnęłam się tym mdlącym, ohydny szpitalnym smrodem.

W dyżurce pielęgniarki siedziały aktualnie racząc się kawą i jakimś kretyńskim serialem odtwarzanym na sporym telewizorze zawieszonym na ścianie. Na mój widok jedna z nich odruchowo wstała i spojrzała pytająco.

– Proszę umyć pacjenta z „szóstki” – rzuciłam krótko, darując sobie wszelką kurtuazję powitań i prezentacji.

Stojąca pielęgniarka wykonała ruch, jakby chciała wyjść zza stolika, gdy inna, chyba przełożona, a na pewno bardziej obyta w kontaktach z rodzinami pacjentów, zatrzymała ją karcącym spojrzeniem. Powoli odwróciła głowę w moją stronę i wycedziła:

– A pani to... kto? – Zmierzyła mnie wzrokiem godnym Królowej Śniegu. – Rodzina? – zapytała kpiąco.

– No... rodzina... – Ponieważ wciąż patrzyła na mnie z wyższością, uściśliłam: – Rodzina ordynatora. – Strzał był celny, bo z satysfakcją odnotowałam niemal natych-

miastową przemianę wyrazu jej twarzy. – Myślę, że podczas rozmowy z ordynatorem będzie pani miała okazję dokładnie także poznać moje koneksje z pacjentem. A póki co, chciałabym wiedzieć, kiedy i kto ma zamiar go umyć? Śmierdzi na kilometr, a paniom to nie przeszkadza? – pytałam z wyszukany spokojem, choć w środku cała dygotałam.

– Proszę wyjść z dyżurki! – O jeden ton za wysoko zakomenderowała oddziałowa, co tylko bardziej mnie rozwścieczyło. – Tu nie wolno przebywać osobom postronnym. A w ogóle, to kto panią wpuścił na oddział?!

– Postronnym? – upewniłam się. – I tylko w tym widzi pani problem? Jazda do izolatki umyć pacjenta, bo jako osoba postronna mogę wykazać się marnym zrozumieniem szpitalnych zwyczajów i pójść z tym, gdzie trzeba! No?! – wrzasnęłam i patrzyłam wyczekująco.

Teraz już wszystkie zaczęły spoglądać na siebie z wyraźnym niepokojem. Taka gadka zawsze działa: jeżeli na kogoś się wydrzesz, to znaczy, że twoje znajomości są szersze i mocniejsze, niż ktokolwiek by pomyślał, a skutki tego rodzaju starć mogą być naprawdę brzemiennie.

– Renia... Skocz, to chyba twoja kolej? – Oddziałowa już spokojniej rzuciła w stronę tej, która na mój widok wstała. – Coś jeszcze? – To już było do mnie. Zjadliwie i nie-naturalnie słodko.

– Nie. Dziękuję. – Zwęziłam powieki, niech wie, że tak łatwo nie odpuszczę.

Oddziałowa sapnęła i ostentacyjnie odwróciła się do mnie plecami, udając, że całkowicie pochłonął ją film. Wysłałam, bo i tak miałam zamiar być przy myciu Dominika. Na wypadek, gdyby nerwowość nakazała łaskawej pani nadmiernie szarpać jego udręczone ciało.

Mycie trwało niespełna kwadrans i okazało się, że nie było to specjalnie trudne. Co ciekawe, w izolatce pojawiło się też krzesło. Znikąd. No proszę... Czyli można.

Po wszystkim Dominik leżał wyraźnie odprężony, spokojny. Spał, a raczej drzemał, oddychając nierówno. Miałam dla siebie chwilę, żeby uspokoić rozedrgane emocje, wyciszyć się. Sięgnęłam do torebki w poszukiwaniu telefonu. Powinnam uprzedzić rodziców, że zajmie mi to dłużej, niż planowałam. Wysłałam z izolatki, wybrałam numer do mamy i... naprawdę, naprawdę nie chciałam płakać! Mama nawet o nic nie pytała, tylko pozwoliła mi chwilę poszlochać, a na koniec kazała dać znać, o której wracam, żeby ojciec wiedział, kiedy po mnie przyjechać. Obie doskonale wiedziałyśmy, że nie mogłam w takim stanie prowadzić. Byłam w totalnej rozsypce... Spacerowałam jeszcze przez jakiś czas po korytarzu, za każdym razem zaglądając przez szklane drzwi izolatki, czy Dominik wciąż śpi. W którymś momencie zaczął się rozglądać, chyba mnie szukał. Weszłam udając, że kończę rozmawiać przez telefon. Sama nie wiedziałam, po co ta szopka – żeby się nie domyślił, że bezsensownie wlokąc się po korytarzu, doszłam na Kopiec Kościuszki? Patrzył na mnie z jakąś niecierpliwością.

– Która godzina? – Znów to dziwne pytanie.

– Jest po czternastej. Czemu pytasz?

– A tak, bez powodu... Wiesz, co oznacza moje imię? – Uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie. Znów zebrało mu się na refleksje.

– Nie.

– Należący do Boga. Śmieszne... Ledwie spuścił mnie ze smyczy, a już mnie wołał! Jeszcze się nie wybiegałem – zażartował słabo.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, ale na szczęście do izolatki zajrzał lekarz. Spojrzał na mnie i lekkim skinieniem głowy wyprosił na korytarz. Posłusznie wyszłam.

– Pani jest od doktora Brzeskiego? – Potaknęłam, więc przeszedł do rzeczy. – Ordynator prosił powtórzyć, że stan Dominika nie rokuje. Przeszczep wykluczaliśmy już ponad miesiąc temu, ale go nie wypisujemy, bo matka nie jest w stanie zapewnić mu opieki w domu i Dominik czeka na miejsce na oddziale paliatywnym. Ale... – Zawiesił głos i spojrzał na mnie wymownie.

Nagły spazm wręcz przeszył moje ciało. Znów rozplakałam się jak dziecko, bezradnie, z poczucia strasznej krzywdy. Jak to?! Dominik umiera i nikt nie potrafi mu pomóc?! A przeszczep? No przecież miał być przeszczep, teraz, na dniach... Boże, Boże... Co za obłuda, co za draństwo!

– To po co go oszukujecie?! – Chyba niepotrzebnie podniosłam głos, ale ta informacja mnie przerosła. – To nieludzkie! On czeka! Wciąż czeka, wciąż ma nadzieję!

– Sądzi pani, że bardziej ludzkie będzie wywiezienie go do domu? Żeby po paru godzinach umarł, potwornie się męcząc? – zapytał lekarz sucho. – Dajemy mu komfort, którego nie znajdzie w domu, warto to docenić. – Spojrzał na mnie z przyganą i odwrócił się.

Chwyciłam go za ramię.

– Przepraszam... – szepnęłam. – Ciężko to znoszę, proszę mnie zrozumieć... Cała ta sytuacja jest dla mnie koszmarnym zaskoczeniem.

– Rozumiem. Proszę do niego wrócić, on potrzebuje teraz kogoś przy łóżku, a sama pani wie, że personel... Zresztą... No niech już pani idzie, tylko proszę się doprowadzić do ładu – poradził życzliwie.

Weszłam do łazienki, żeby obmyć twarz, choć tak naprawdę wątpiłam, aby Dominik dostrzegł moją słabość. Był umierający... Niepojęte! Przecież to była tylko grypa. To miała być zwykła grypa, z którą pojechał na obóz kondycyjny, bo twierdził, że to życiowa sprawa. Fakt, nie pomylił się – życiowa... Wszystko bez sensu! Gdy wróciłam do pokoju, patrzył przed siebie z jakimś dziwnym zacięciem na twarzy.

– Myślisz, że po wszystkim do mnie przyjdzie? Będę czuł jego obecność?

– Czyją obecność? – Nie rozumiałam.

– No... yyy... dawcy. – Był wyraźnie zawstydzony swoimi rozterkami.

– Nie wiem... Męczy cię to?

Zastanowił się, jakby starał się dobrać odpowiednie słowa.

– A jeżeli to był dobry człowiek i nie będę w stanie godnie wykorzystać jego daru? A jeżeli to był jakiś bandzior? Jak mam nosić serce kogoś takiego? – Do głosu doszły emocje, spływając oddech i Dominik zaczął się dusić z wysiłku.

Milczałam, nie chcąc go prowokować do dalszego ciągu, wołałam, żeby oszczędzał siły. Ale on uspokoił oddech i znów zaczął drążyć.

– Pamiętasz *Lokatora* Polańskiego? Adjani pytała, jak to jest, że gdy odejmą nam rękę mówimy: „ja i moja ręka”, ale gdy odejmą nam głowę mówimy: „ja i reszta mojego ciała”? To przecież bzdura, bez serca nawet ten głupi mózg nie pociągnie samodzielnie! Myślę, że... Że jeżeli serce jest życiodajną pompą, to moje ciało będzie dla niego zaledwie opakowaniem. A ja z biorcy staję się dawcą...

– Za dużo o tym myślisz... Powinieneś odpoczywać... – Kula w gardle rosła mi w zastraszającym tempie. Modliłam się, żeby tego nie wyczuł w moim głosie.

– Odpoczywać? A od czego twoim zdaniem? Od tego cholernego umierania po kawałku?! Zdycham tu i nic nie wskazuje na to, żeby ten proces miał szansę się odwrócić! – Podniósł głos i znów zaczął kaszleć.

Z jego nosa powoli sączyła się strużka czarnej, gęstej krwi. Spokojnie sięgnęłam po chusteczkę i delikatnie wytarłam ślad. Kilka kropel, dwie, trzy... Uciekające życie.

Dotknęłam jego dłoni. Z trudem opanowałam wzdrygnięcie – była lodowata. Po chwili wahania zacisnęłam na niej palce, na przekór wszystkiemu starając się przekazać mu choć odrobinę swojej ciepłoty. Chyba to wyczuł, bo z niejakim wysiłkiem również ścisnął moją dłoń i szepnął:

– Nie zostawiaj mnie... Nie dziś... Proszę...

– Przecież nigdzie nie idę – powiedziałam z mocą, a w głowie przeliczyłam, od ilu godzin tu siedzę, a ile już zawałam swoich spraw. A zresztą... Co mnie goni, poza wydumanymi problemami? Zostanę. Zostanę tak długo, jak będzie chciał.

– Ktoś u ciebie bywa? – Znów podjęłam żmudną konwersację, choć widziałam, że coraz częściej przyryka oczy, zmęczony i uciekający w głąb siebie.

– Tylko mama... Była rano... – mówił z coraz większym trudem. – Prędzej odwiedzą mnie na cmentarzu... Przyjaciele – sapnął z ironią.

– Dobra, dajmy temu spokój. – Chciałam wstać i przysunąć bliżej szklankę z wodą i wacikiem, żeby zwilżyć mu usta. Przytrzymał mnie z zaskakującą jak na jego kondycję siłą.

– Siedź... Tak jest dobrze. – Spojrzał na mnie. – Tak jest najlepiej... – Znów przymknął oczy i chyba odleciał. Takie odloty były coraz częstsze, a każdy następny coraz dłuższy.

Siedziałam sztywno, sama nie wiedząc, jak długo, i coraz dotkliwiej odczuwając niewygodną pozycję. Dominik oddychał łapczywie, nabierając powietrze ustami, ale jego piersi ledwo się unosiły. Nie wypuszczając jego dłoni delikatnie wstałam i cichutko przysunęłam krzesło jak najbliżej łóżka, żeby móc się wreszcie oprzeć. Bolały mnie

plecy, a co najgorsze – nadciągał potworny ból głowy. Marzyłam o drzemce, wygodnym fotelu i ciepłym kocu. Tu nawet światło było zimne.

W pewnym momencie Dominik ocknął się i nerwowo rozejrzał wokół. Zobaczył mnie i wyraźnie się uspokoił.

– Która godzina? – zapytał kolejny raz.

Spojrzałam na zegarek.

– Jest dwadzieścia po siódmej.

– Rano czy wieczór? – dopytywał, jakby to miało w tym momencie jakiegokolwiek znaczenie.

– Wieczór. Czemu pytasz?

– Chcę wiedzieć... Chcę tylko wiedzieć...

– Co?

– O której się to wszystko skończy...

Nie było już sposobu, żeby mu powiedzieć, że zajęło to jeszcze tylko chwilę.